

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 2 ruble (za odosłanie do domu dopłaca się 10 kop. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 2 ruble 25 kop.

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 1 rub.; na 1 stronie okładki 60 kop.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 30 kop.; na 3-ej stronie okładki i ogłoszenia zwykłe 25 kop.; Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 75 kop. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rub., przy Nadesłanych 8 rub.; na ostatniej stronie 7 rub. i wewnątrz 6 rub. Artykuły reklamowe 175 rubli za stronę.

Adres Redakcyi: WARSZAWA, ZGODA № 1.
FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń
„PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 8 z dnia 24 lutego 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



TOW. AKC.

BRACIA JABŁKOWSCY

BRACKA 23

MATERJAŁY

WEŁNY,
BAWELNY
JEDWABIE

BIELIZNA

DAMSKA,
MĘSKA,
DZIECIĘCA

WYPRAWY ŚLUBNE

OD 300^{OP}

OKRYCIA
KOSTYMY
SUKNIE
BLUZKI

SUKNIENKI DLA PANIENEK — UBRANKA DLA CHŁOPCÓW

OBUWIE
DAMSKIE
DZIECIĘCE

10229

Ucieczka z niewoli.

Tak przebrany, przyłączyłem się do transportu jeńców, który szedł w stronę Kijowa. Łatwo mi to było zrobić, bo w obozie tutaj żadnej ewidencji, jak to u nas, nie prowadzi się. Jeńców i żołnierzy liczą tylko. Ale nikt nie wie, ilu ich jest, nikt ich nie zna. W Kijowie odłączyłem się od transportu i odtąd sam już podróżowałem. Przez 7 dni jechałem do Maniewicz. Rzadko mnie o co kto pytał. W Rosji tylko cywilnych nagabują, na mundur nikt nie zwraca uwagi. Jechałem pociągami towarowymi, o ile możliwości, dobrze schowany. Trochę już po rosyjsku rozumiałem i mogłem się jako-tako rozmówić. Żywiłem się głównie herbatą i chlebem. W Darnicy kupiłem sobie cukru, a na każdej stacji kipiátku dostać można. Z końcem listopada przyjechałem do Maniewicz. Wszystko tu prawie tak, jak było. Tylko magazyny spalone — zresztą wszystko po staremu. Jest nawet i kino, jest i kasyno oficerskie, tylko, że w niem mundury rosyjskie. Z Maniewicz, nie namyślając się wiele, wyszedłem odrazu na pozycję. Tutaj ukryłem się w trawach i znowu do wieczora przeczekałem. Chciałem się przekraść przez bagna, bo wiedziałem, że są one słabo obsadzone. Włóczyłem się długo po bagnach, zapadałem w trzę-

sawiskach, nie mogąc odnaleźć dyrekcyi. Wreszcie nad samym już ranem zbłącony i przemoknięty, do ludzkiego stworzenia niepodobny, natknąłem się na okopy rosyjskie. Tu mnie zaraz żołnierze rosyjscy przytrzymali i odstawili mnie do komendanta kompanii — ten mnie zrewidował i odesłał do komendy dywizyi, z dywizyi do komendy armii. Wypytywali mnie, badali, spisywali protokoły. Musiałem opowiadać wszystko od urodzenia, nareszcie odesłali mnie do turmy do Lucka i powiedzieli, że będę tam siedział tak długo, aż się ustali moja tożsamość — a potem pójdę na Sybir.

Tak więc, pomyślałem sobie, zamknęli cię, bracie, już na amen.

Siedziałem w dużej celi razem z 24 żołnierzami. Byli tam austriacy żołnierze-polacy, których złapano podczas ucieczki — byli i dezertrzy rosyjscy.

Po dziesięciu dniach przybył do tej samej celi Bugała. Choć był w mundurze żołnierza rosyjskiego, poznałem odrazu, że to legionista. Poznałem po wyrażeniach. Mówił: kompanijny, batalionowy i t. d. A tak mówią legionści. Odrazu poznaliśmy się i zmówili. Dowiedziałem się, że Bugała był w Równie skazany na śmierć, ale udało mu się jakoś szczęśliwie uciec. Dostał się po-

tem na pozycję, ale tak, jak i mnie nie poszczęściło mu się, złapali go i do tej samej odstawili celi.

Obaj chcieliśmy jeszcze raz uciekać, wciąż o tem rozmawialiśmy i układali różne sposoby. Przypuściliśmy do sekretu kilku polaków, żołnierzy austriackich — a ci obiecali nam pomóc. Wreszcie nadszedł dzień.

Na nasze szczęście, popsuły się wtedy „ubikacje” wewnątrz więzienia. I dlatego codziennie wieczorem wyprowadzano nas po dziesięciu jeńców po za więzienie. W takiej chwili można było najlepiej uciekać. Jednego wieczoru, gotowi już na wszystko, wyszliśmy tak, jak zawsze. Przodem szedł konwojny, potem ja, potem Bugała, potem tych kilku żołnierzy, co nam pomagać mieli, nareszcie znowu konwojny. Jakiś tyłko bramę minęli, zaraz ja i Bugała skoczyliśmy cicho za mur — a austriacy dołączyli. Konwojny uwagi nawet nie zwrócił na to wszystko. Włożyliśmy zaraz na siebie pasy i wzięliśmy każdy kamień do ręki. Było nam już wszystko jedno; gdyby nas kto chciał zatrzymać, byłbyśmy bronili się do upadłego. Tak szliśmy do głównej bramy, przy której stał posterunek. Na szczęście, była pluta, warta nie przyglądała się nikomu, a że się tu ciągle kręcili żołnierze, więc przeszliśmy łatwo. Udało się nam przejść miasto, a kiedyśmy się już daleko w polu znaleźli, wybraliśmy sobie na nocleg opuszczony wiatrak. Zaraz rano wyruszyliśmy w stronę pozycji, które znaj-

dują się w odległości około 30 kilometrów od Łucka. Przekradaliśmy się polami albo lasem. Przed wieczorem doszliśmy do rezerwowych okopów i ukryliśmy się w niezamieszkałej ziemiance. Tak czekaliśmy nocy. Gdy ta nastała, weszliśmy zaraz rowem dobiegowym do głównych okopów. Wzięliśmy dwa pierwsze karabiny z brzegu, mówiąc po drodze, że my, to patrol pułkowa, i wymiarkowaliśmy od razu wazki rów, prowadzący na placówkę. Mówili nam jeszcze w więzieniu żołnierze rosyjscy, że patroli pułkowej nikt nie zatrzymuje i wszyscy ją puszczają swobodnie. Przepuścili nas strażę, nikt się nawet o hasło nie pytał.

Przepuściła nas i placówka.

Gdyśmy już wyszli za placówkę, a rów wychodził na górę, szliśmy szybko naprzód, myśląc, że idziemy prosto do okopów austriackich. Już nam ciężar spadł z serca, już się zdawało, żeśmy wybawieni — tymczasem okazało się rychło, żeśmy wzięli złą dyrekcyę.

I tak oto wleźliśmy na flankowe okopy rosyjskie.

Ledwośmy się przed okopami ukazali, zaczęli do nas strzelać. Mimo to byłem pewien swego i przekonany, że to są austriackie okopy. Zaczęłem wołać do nich po niemiecku, żeby dali spokój. To ich tylko utwierdziło w przekonaniu, że mają nieprzyjaciela przed sobą, i strzelali coraz więcej. Austriacy, którzy mieli, jak się potem okazało, okopy o jakieś 50 kroków, poczęli odpowiadać. Byliśmy więc w samym środku okropnej strzelaniny, o kilkanaście kroków zaledwie od pozycji rosyjskich. Wkońcu zrozumiałem wszystko. Nie tracąc nadziei, ukryliśmy się w dziurach od granatów i czekaliśmy końca tej historii. Moskale, zaniepokojeni naszym ukazaniem się, zrobili w okopach alarm i zaczęli rzucać w naszą stronę granatami ręcznymi. To wszystko trwało dobre dwie godziny. Wreszcie strzelanina ucichła. Korzystając z tego, zaczęliśmy się czołgać zwolna w stronę okopów austriackich. Jużśmy wiedzieli, gdzie są. Poznaliśmy dokładnie kierunek po rakietach. Niepostrzeżenie dostaliśmy się pod same okopy austriackie. Ale tu nas nie chcieli puścić, mimo to, że krzyczałem po niemiecku. Pod drutami przeleżeliśmy do rana. Dopiero, kiedy się rozwidniło, uwierzono nam i pozwolono wejść.

Nareszcie byliśmy wolni...

Stanisław Dzikowski.

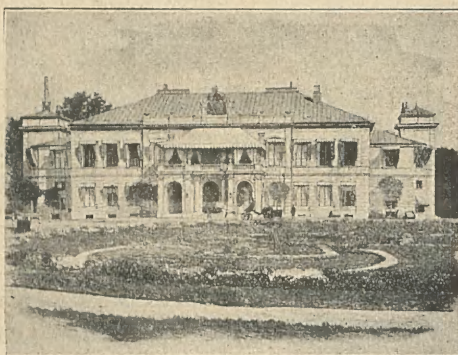
Wszelkie prawa przedruku zastrzeżone.



Na lat trzydzieści przed wybuchem wojny europejskiej.

Zjazd trójcesarski w Skierniewicach 1884 r.

Z łatwo zrozumiałych powodów, prasa warszawska, w chwili, gdy przed trzydziestu dwoma laty odbywał się historycznej doniosłości zjazd trzech najpotężniejszych monarchów europejskich, oraz ich ministrów w Skierniewicach, mogła była zaspakajać ciekawość swoich czytelników



Pałac w Skierniewicach.

skąpemi wiadomościami o dekoracyjnej jedynie stronie owego epizodu i to tylko na podstawie szczegółów, jakie pismom urzędowym ogłosić pozwolono. Pozatem, czasopisma nasze ilustrowane poprzestać musiały na przypomnieniu przeszłości Skierniewic i jego pałacu, ograniczyć się jedynie przedstawieniem jego widoku i szczegółów dotyczących pobytu w nim księcia prymasa Michała Ponia-

towskiego na schyłku XVIII w., biskupa Ignacego Krasickiego, który tutaj pisał swego *Pana Podstolego*, tłumaczył *Rozmowy zmarłych* Lucjana i *Żywoty Plutarcha*, nadto przypomnieniem pobytu w nim marszałka francuskiego Davoust, nowego jego z daru Napoleona dziedzica, wreszcie dalszych losów owej rezydencji, aż do czasów przeznaczenia jej na pobyt letni monarchów rosyjskich i feldmarszałka Bariatynskiego.

W nowszych dziełach historycznych niemieckich dopiero w ostatnich czasach zaczęły się pojawiać rewelacje o powodach zjazdu Skierniewickiego, który był niejako owocem starań kanclerza Bismarcka na krótko przed jego odejściem od władzy, by zacieśnić węzły spójności między mocarstwami: niemieckim, austro-węgierskim i rosyjskim, w celu utworzenia obronnego przeciw tworzącemu się już sojuszowi Anglii i Francji wału dla kierowania sprawami Europy i jej interesami na Wschodzie.

14 września 1884 r., w niedzielę, przybył pierwszy do Skierniewic cesarz Aleksander III. W poniedziałek, dn. 15 września, o godz. 2-ej po południu przybył cesarz Franciszek Józef, wreszcie tegoż dnia, w dwie godziny później, stanął w Skierniewicach cesarz Wilhelm I.



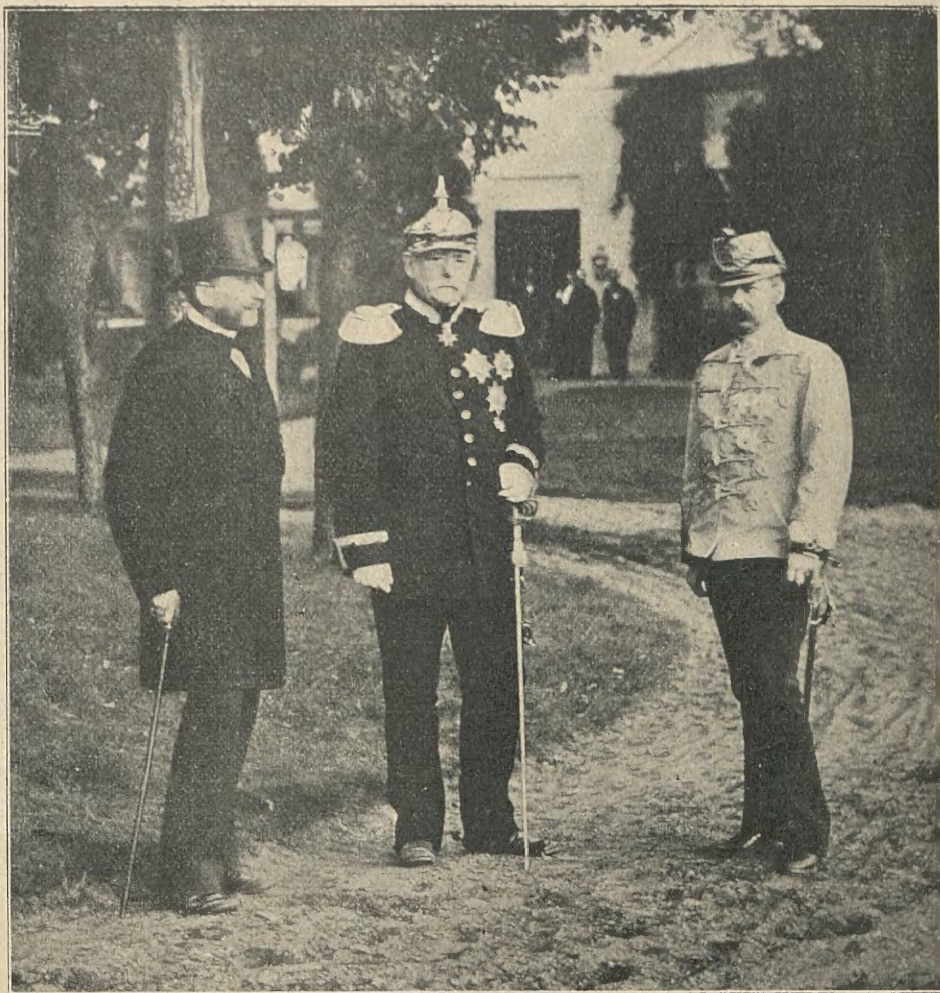
Trzej cesarze: austriacki niemiecki i rosyjski podczas zjazdu w Skierniewicach.

Aleksander III z małżonką zajął w pałacu apartamenta po lewej stronie od wniścia. po prawej zaś stronie było mieszkanie cesarzów niemieckiego i austriackiego. Sala jadalna i biblioteka były wspólne. Dygnitarze dyplomatyczni zamieszkali w skrzydłach pałacowych. Tam ułokowali się: książę Bismarck, hrabia Kalnoky i Giers, generałowie pruscy: Schweinitz i Werder, książę Radziwiłł i Albedill, hr. Wolkenstein, oraz adyutanci cesarscy. Inni dygnitarze usadowili się w prywatnych mieszkaniach na mieście.

Z publiczności nikt dostępu do obwodu pałacowego nie miał. Wyjątek uczyniono dla korespondentów gazet zagranicznych i rosyjskich. Z polskich miały swoich przedstawicieli: *Kurier Warszawski*, *Poranny*, *Gazeta Polska* oraz *Handlowa*. Oddano ich pod opiekę p. Jankulis wraz z fotografami: Mieczkowskim i Konradem Brandlem. Dzięki tym ostatnim zachowała się pamiątka najgłośniejszych epizodów zjazdu, mianowicie, pierwsze ukazanie się trzech cesarzów przed pałacem, oraz spacer księcia Bismarcka w otoczeniu hr. Kalnoky i Giersa po parku skierniewickim.

Fotogramy powyższe dziś do rzadkości należą.

Al. K.



Giers, Bismarck i Kalnoky, ministrowie państw uczestniczących w zjeździe, na przechadźce w parku skierniewickim.

W setną rocznicę śmierci twórcy gramatyki polskiej.



Uczczenie w Towarzystwie Przyjaciół Nauk zasług ks. Kopczyńskiego, autora jednej z najpierwszych gramatyk polskich przez ministra oświecenia publicznego, Stanisława hr. Potockiego.

Obraz Kopczyńskiego.

NA BAGNETY.

Patrząc na naszych żołnierzy, najczęściej małego wzrostu, zmierzowanych i delikatnych, największy ich przyjaciel nie przypuścił, ażeby ci chłopcy byli zdolni do czynów, równych pod względem brawury i męstwa czynom wypróbowanego starego żołnierza 1830 roku z pod Olszyny czy Ostrołęki.

W historii I Brygady są już złote karty, purpurą krwi młodej pisane, karty godnie nawiązujące tradycje nieśmiertelnej chwały polskiego żołnierza w walce z wrogiem pierś o pierś, wręcz, na bagnety. Łowczówek, Tarłów, Stowgoros, Jabłonka, Koszyszcze — wyliczam pierwsze z brzegu nazwy z raportów wojсковych.

Łowczówek, tam daleko od nas, prawie u stóp Tatr, Tarłów — nad brzegami Wisły w złotej Sandomierszczyźnie. Stowgoros — w zapadłych bagnach i grzęzawiskach Polesia, Jabłonka pod Okońskiem w piachach i mokradłach Pińszczyzny, wreszcie Koszyszcze tuż, tuż za moskiewskimi okopami obecnej pozycji naszej.

Wybieram z papierów II batalionu majora Wyrwy-Furgalskiego 5-ty pułk „Zuchowatych“ Berbeckiego: „Sprawozdanie z boju dnia 21 października 1915 roku“.

Czytamy:

„Koszyszcze. Okopy rezerwy.

„O godzinie 11-ej przed południem kompania 2-ga i 3-cia II baonu, stojące w rezerwie Brygady, zostały zaalarmowane depeszą telefoniczną z Komendy pułku...

O godz. 11 min. 30 półbatalion stanął przed komendą pułku na okopach, bez rynsztunku, jedynie z amunicją w chlebakach i ładownicach. O godzinie 11 min. 45 obie kompanie rozwinęły się już za drutami; trzecia kompania na prawo, druga na lewo. Kierunek miały prowadzić zewnętrzne skrzydła kompanii. Wydzielono małe ubezpieczenia obu skrzydeł, przed frontem patrolo bojowe. Wszystkie patrole otrzymały bezwzględny rozkaz niestrzelania na wypadek spotkania się z nieprzyjacielem. Miały jedynie niezwłocznie meldować wszystkie zaobserwowane szczegóły Komendzie batalionu, która znajdowała się w środku półbaonu.

Muszę przyznać, że wszystkie patrole pracowały wzorowo.

Po przejściu 800 kroków lasu doszliśmy przed bagno, zarosłe gęsto krzakami, gdzie obie kompanie zatrzymałem dla rozejrzenia się w sy-

tuacyi, ponieważ na prawem skrzydle słyhać było rzadkie strzały, niewątpliwie rosyjskie. Patrole zostały wysłane na prawo i przed front. W tym czasie (godz. 12 min. 30 po południu) nawiązałem łączność z komendantem pułku, który osobiście szedł tu z plutonem 2-ej kompanii I baonu, mającym służyć za moją rezerwę, jako też z patrolem 3-ej kompanii I baonu, który przesunął się w prawo, wzdłuż okopów. Patrol 3-ej kompanii II baonu doniósł, że moskale przesuwają się w grupach po kil-



Major Wyrwa-Furgalski.

ku do kilku nastu ludzi w kierunku zachodnim, w odległości nie większej, jak 200 kroków, od prawego skrzydła 3-ej kompanii. W ten czas nakazałem tej kompanii przyjąć odpowiedni front, t. j. ze wschodniego, południowo-wschodni. Kompania 2-ga pozostała w poprzednim froncie, ponieważ jej meldunki donosiły, że tuż za bagnem znajdują się moskale w znaczniejszej ilości i przesuwają się na jej lewe skrzydło. Porucznik Konieczny otrzymał rozkaz trzymania się na swoim froncie, kompania 3-a została skierowana na punkt, w którym spodziewałem się zastać rosyjską placówkę w sile najwyżej 40 ludzi. Tymczasem, gdy linia tyralierska 3-ej kompanii zbliżyła się na odległość mniejszą, niż 100 kroków, moskale otworzyli stamtąd żywy ogień karabinowy. Nasi żołnierze wstrzymali się w swoim ataku i zaczęli odpowiadać ogniem. Widząc, że może to wywołać bezcelową leśną strzelaninę i nas narazić na bój w niewyjaśnionej sytuacji, najbliżej siebie leżących w tyralierce strzelców poderwałem do ataku. Rozległo się gromkie „hurra“ i po przebiegnięciu biegiem kilkudziesięciu kroków znaleźliśmy się z obu stron rosyjskiego okopu. Moskale poczęli rzucać karabiny, powiewać chustkami, wznosić ręce do góry. Zostali zabrani do niewoli.

Sytuacja przedstawiła się w innym świetle, niż sobie to wyobrażałem. W okopie ciągłym, dobrze zbudowanym, zaopatrzonym w ziemianki, znajdowała się linia rosyjska, miejscami gęsto obsadzona. Dużo amunicji karabinowej i granatów ręcznych. Wobec tego należało rozpocząć robotę prowadzić dalej i atakować wzdłuż linii okopów. Moska-

le — 5-a i 6-a rota 326 Białogórskiego pułku, przerażeni niespodziewanym atakiem, albo zbijali się w bezładne kupy i oddawali się do niewoli, albo w małych grupkach po kilku nieszkodliwych dla nas strzałach uciekali w las. Atak posuwał się żywo naprzód, nasi nie dawali się w impecie powstrzymać. *Kilkakrotnie nawoływałem do zbiórki bezskutecznie*, a kiedy zobaczyłem, że z okopu dalszego wysuwają się moskale i tworząc tyralierkę ostrzeliwują nas z boku, na komendę: „jeszcze raz hurra“ rzuciłem prawoskrzydłowy pluton 3-ej kompanii podporucznika Myszkowskiego do ataku. Moskale uciekli w popłochu w las. Ponieważ żołnierz był zmęczony, aczkolwiek podniecony i chętny do boju, nie chciałem, nie mając więcej sił do dyspozycji, posuwać się dalej, zarządziłem zbiórkę i odmaszerowałem do swoich okopów.

Artyleria rosyjska otworzyła ogień, który przenosił. Po drodze znaleziono kilka trupów rosyjskich (książeczki służbowe załączam). Bronieńców ze względu na szybkość akcji nie zbierano.

W ataku wzięła udział 3-a kompania (76 karabinów) i część plutonu podporucznika Harzewskiego z kompanii 2-ej. Rezultat: 130 jeńców szeregowców i jeden oficer, kilka ręcznych granatów i aparat telefoniczny ze zwojem drutu. Nasze straty: lekko ranny porucznik Mirski (bagnetem w rękę) i szeregowiec Paweł H. (kulą karabinową w nogę). O godzinie 1 min. 15 byliśmy z powrotem na miejscu zbiórki alarmowej“.

Podpisano: *Tadeusz Wyrwa*,
major.

Tyle raport. Nie mówi on o tem, że ci sami chłopcy z dzielnym swym majorem zaledwie dzień jeden wypoczęli po wściekłych atakach rosyjskich pod Kulikowiczami i Komarowem, gdzie zginął nieodżałowany kapitan Orwid-Kossakowski, że w noc z 20-go na 21-go października moskale atakowały nas przez godzinę prawie w okopach pod Koszyszczami, że uprzednio dniami całymi trwaliśmy w okopach pod nieustającym ogniem artylerii moskiewskiej — że kuchnie polowe tylko nad ranem podjeżdżają do okopów.

Za ataki na bagnety pod Stowgoroszem I batalionu Sława-Zwierzynskiego i pod Koszyszczami — II batalionu majora Wyrwy-Furgalskiego przedstawiono 70 szeregowców i 9 oficerów do odznaczenia.

M. Dąbrowski.



Zjazd delegatów Polskiej Macierzy Szkolnej.



Fot. Maryan Fuks.

Podczas przerwy dla głosowania na wybory nowego Zarządu.

I-szy Ogólno-Krajowy Zjazd ogrodników polskich.



Fot. Maryan Fuks.

Podczas obrad. — Przewodniczył prezes W. T. O. prof. Edmund Jankowski.

Dwa nowe pomniki.

Wiek dziewiętnasty mianowano wiekiem historii i filologii. O ile to było słusznem, o tyle za tym wiekiem dążyliśmy z wielkim trudem i wyraźnem opóźnieniem, niby zdyszane ciury przy ostatnim kole ostatniego wozu ostatniego trenu. Aleśmy ostatecznie na drodze nie zostali i z obozem łączności nie utracili.



Prof. Stanisław Słoński.

Był czas, gdy nam historię polską Niemcy pisali, jak Reppel i Caro; był czas, gdy źródłami naszej mowy rodzinnej, ukochanego języka polskiego, rozsłonecznionego jedną z największych poezji świata, zajmowali się wyłącznie

czesi, chorwaci i rosyjanie. Dla historii polskiej ten czas minął już dość dawno, gdy Szujski w uniwersytecie krakowskim a Liske w lwowskim założyli uczone gniazda dla wychowywania historyków polskich. Z polską filologią było gorzej. Prawie aż do ostatnich czasów nie wydała ona rzeczy okazałych, a jedyną rzecz głośną naszych badaczy języka ojczystego, to — chaos ortograficzny, z którego wyjść nie możemy.

W głębinach jednak wielkie rzeczy się przygotowywały. A przygotowywały się one za sprawą dwóch wielkich naukowych instytucji naszych, które wsparły doniosłe zamierzenia swoją powagą i swoją gotówką.

I oto naraz, w jednym roku, wojennym roku, gdy wszystkie gałęzie produktywności intelektualnej polskiej osłabły, a niektóre z nich i zamarły, polska filologia buchnęła potężnymi hymnami życia i siły.

Jeden z tych hymnów jest rodzajem chóru, drugi potężnem solo.

Tak oto Krakowska Akademia Umiejętności wydała dwa nowe tomy swej znakomitej Encyklopedyi Polskiej, poświęcone Językowi Polskiemu. Wszyscy najwybitniejsi nasi filologowie z profesorami Kryńskim, Baudoin de Courteney i Łosiem na czele stanęli pod tym sztandarem i dali niezawodnie dzieło wielkiego znaczenia, poprostu pomnik, którego czas długo nie ukąsi. Jak zaś rozległe program polonistyki został przez uczonych naszych postawiony, niech za ilustrację poglądową posłu-

ży fakt, iż nietylko uwzględniono w pełni polskie narzecza, jak kaszubskie i tatrzańskie, ale nawet żargon żydowski, o ile odbił się na nim wpływ języka polskiego, znaleźli tu opracowanie.

Niestety, na wydawnictwa Krakowskiej Akademii nałożono od pewnego czasu wprost bezsensowne ceny. Z wielką to dzieje się dla Akademii szkoda, bo takie zdzierstwo musi instytucji odbierać wiele sympatii, skutkiem czego niejeden poważny legat w inną popłynie stronę.

Drugi pomnik polskiego języka zawdzięczamy Warszawskiemu Towarzystwu Naukowemu, które umożliwiło prof. Stanisławowi Słońskiemu wydanie naukowe „Psałterza Puławskiego“, będącego jednym z najpiękniejszych zmagani się żywiołu mowy polskiej z graficzną symboliką martwych łacińskich liter. To dzieło o 623 stronach znane jest pod popularniejszą a nieczem nie usprawiedliwioną nazwą „Psałterza Królowej Jadwigi“; napewno zaś o niem to tylko wiadome, że w 1533 r. rękopis ten był w posiadaniu jakiegoś Komorowskiego a w 1617 r. w rękach Jana Rembieszkiego z Rusi. Ocalił go Czartoryscy. Stąd nazwa dzisiejsza, od Puław pochodząca.

Ile pracy w to wydanie prof. Słoński włożył, o tem profan, choćby

był wysokiego stopnia inteligentem, pojęcia dokładnego mieć nie może. Na tych 623 stronach oryginału trzeba było badać każdą literę osobno, a co do wielu z nich tworzyć mozolne nieraz hipotezy. Ponieważ mowa polska posiadała cały szereg dźwięków, nieznanych rzymianom, jak nosowe i świszczące, ponieważ w odmiennie słów polskich o często zamieniało się na *u*, twórcy polskiego alfabetu łacińskie litery wystarczać nie mogły, kreowano więc nowe znaki, które dziś już z pisowni znikły, natomiast nie umiano sobie poradzić z rozróżnieniem *l* i *ł*, które w rękopisie jednakowo przez pierwszą z tych liter są przedstawiane.

Drobnicuchną cząstkę trudności i właściwości „Psałterza Puławskiego“ tu dotknęliśmy. Zbyt to są specjalne rzeczy, aby kusić się o ich popularyzowanie i ten pomnik polskiej filologii musi pozostać obcym nawet tym dyletantom, którzy, jak pszczoła miod, zbierać zwykli słodczyce różnorodnych wrażeń ze wszystkich możliwie dziedzin badawczej myśli. Niech im wystarczy tym razem uciecha, że nauka polska zdobyła jedno z dzieł, które naród cały podnoszą na wyższy stopień kultury i szacunek świata mu zapewniają.

Dr. Voks.

Na froncie wojennym.



Żołnierze kopią rowy w śniegu.



Brak siły pociągowej zmusił do pracy nawet egzotyczne zwierzęta, które dotychczas próżniaczy żywot w ogrodzie zoologicznym wiodły. Słonie okazały się bardzo użyteczne do przewozu ciężkich furgonów.



Dr. Kochanowicz, który zmarł w ubiegłym tygodniu, lekarz Pogotowia Ratunkowego, podczas pracy w ambulatorium.

Organizacyjny Zjazd „Związku Rewizyjnego polskich Stow. Rolniczych” i „Kasy Centralnej rolniczych Stow. pożyczkowych”.



Dwie nowe instytucje wiążą się w celu skompletowania organizacji wsi polskiej. Związek rewizyjny dostarczy umiejętnych lustratorów, którzy zapoznawać będą właścicieli z prowadzeniem rachunków w stowarzyszeniach pożyczkowych ujednolicią całą rachunkowość i te instytucje wniosą na poziom odpowiedni. Dawanie rad i wskazówek, jak użyć pieniędzy zgromadzonych, również wejdzie w zakres pracy tych lustratorów. Projektowane jest inicjowanie na wsiach, gdzie stowarzyszenia pożyczkowe mają dość pieniędzy, zakładania spółkowych piekarni, młynów i masłarni. Druga instytucja, Kasa Centralna, będzie regulować ruch pieniężny stowarzyszeń pożyczkowych. Zdarza się, że w jednej okolicy jest nadmiar oszczędności, z którymi niewiedomo co zrobić, a w drugiej głód kredytowy panuje.

Zjazd przedstawicieli kółek rolniczych w celu zorganizowania Zw. Rew. Pol. Stow. Rolniczych i Kasy Centr. Rol. Stow. Pożycz. w sali C. T. R. Przewodniczył ks. Bliźniński, assesorowali pp.: ks. Adamowski, Falkowski, Krzykowski, Poniatowski, Szczepkowski i Zalewski; sekretarował p. Stef. Jankowski.

Fot. Maryan Fuks.

Idzie na końcu kompanii czwórkami maszerującej żołnierzy trzech, czterech bez karabinów, z tornistrami większemi od innych, jedni z torbami jakiemiś dżdżem przy bokach, drudzy z dragami na ramionach — sanitaryusze.

Ludzie, którzy wyrzekli się osobistego udziału w bitwie, wyrzekli się tego nimbu, jaki otacza zadających śmierć, poświęcili się walce z tą śmiercią właśnie. Nie ma sanitaryusz liniowy tradycyi wieków za sobą, nie jest on rodzajem „broni“ dawnym, dzisiejsza dopiero wojna dała mu na swych obszernych polach działania miejsce do czynu.

Pamiętam, czytałem gdzieś, już w czasie wojny, opis urządzeń sanitarnych, coś w rodzaju: Jak wyglądać będzie służba sanitarna w przyszłości? — pisany przed wojną.

I dochodził autor do wniosku, że będzie ona nader uciążliwa, niebezpieczna, a na polu walki prawie niemożliwa wobec karabinów szybkostrzelnych, wobec masy pocisków, zalewających teren walki.

Jednak — gdy do walki już naprawdę przyszło, nie spełniły się przewidywania autora broszury owej. Poszedł sanitaryusz w linii tyralierskiej, i gdzie tylko jakiś ranionych słyszy, gdzie kule najgęściej idą, tam spieszy. Praktyka przełoniła, że nie trafiają wszystkie kule, i wśród świstu i stukotu pocisków można chodzić, jak wśród nawałnicy gradowej — bezpiecznie.

Trzeba mieć tylko — szczęście. Ale to już rzecz osobista.

Choć sanitaryusz liniowy, kompanijny, idzie w pierwszej linii, choć daninę śmierci na równi z tyralierami składa, nie uważany jest przez kolegów za żołnierza pierwszej klasy. Naturalnie, nie powie o nim nic złego ani dowódca wyższy, ani kolega, gdy się mówi poważnie. Zawsze jednak trzeba tłumaczenia, że sanitaryusz nie ma wcale za lekkiej służby, ani za bardzo bezpiecznej.

— No tak, sanitet, — zresztą wcale dzielny chłop — powie prawie każdy żołnierz tonem pewnej wyższości o koledze,



Projekt pomnika dla spekulacji żywnościowej w Warszawie.

którego pomocy wzywać będzie i od którego jedynie ratunku może oczekiwać, gdy „ta“ właśnie „pisana“ kula nadleci.

Rozumie żołnierz tego „saniteta“, ocenia go, jednak: Eee, to sanitet! Tak się już jakoś stosunki złożyły.

A nie ma wcale sanitaryusz służby lekkiej. Wraz z kompanią bowiem zawsze idzie, z nią kwateruje, jej dole i niedole dzieli. Ot, gdy wszystko już na kwaterach spoczywa, jakże często sanitaryusz jeszcze pracuje, skutki marszu uciążliwego łagodząc i naprawiając. A w bitwie? Każdy ranny żołnierz opowie, jak to go „sanitet“ opatrywał, a jak się dokładnie o sprawy te popytać, to dowiedzieć się można, jak to patrol nasz sanitarny w czasie wyprawy czwartego batalionu pierwszego pułku, jeszcze w czternastym roku, pod Warszawą, oficera pruskiego zabitego ku podziwowi prusaków z pomiędzy patroli nieprzyjaciel-

skich wyniósł, jak sanit. Buława-Koloszek pod Łowczówkiem padł, jak kapitana Grudzińskiego z pod okopów rosyjskich sanitaryusze szóstego batalionu wynieśli, jak każda prawie poszczególna kompania ma w swoim dzienniku fakty dzielności nadzwyczajnej swoich sanitetów zanotowane, a jednak — „zawsze to sanitaryusz“ — żołnierz ręką machnie.

Choć już z biegiem czasu nauczyło się cenić stan sanitecki, niechętnie jednak żołnierz liniowy karabin na tragi zamienia. Bo trzeba wiedzieć, że służba sanitarna rekrutuje się z kompanii samej, ubył jeden sanitaryusz, a no będzie teraz sanitaryuszem ten lub ów — i żołnierz karabin składa, drągi od noszy dla rannych bierze na ramię — i starać się zaczyna wszystkimi siłami do linii wrócić. Nie udaje mu się to zwykle, bo komendant kompanii rozumie potrzeby oddziału swego i wie, że jak kto odważnie jako szeregowiec stawał z karabinem, nie mniej odważnie pójdzie wśród kul z noszami po koleżę rannego.

Pamiętam czas, gdy z płaczem wpraszano się od białej z czerwonym krzyżem opaski, gdy medycy nie przyznawali się, że są medykami, gdy trzeba było formalnego rozkazu, by ktoś z linii poszedł do służby w sanitaryacie. Teraz utarły się już i zmieniły rzeczy — nie powie już żołnierz: jakto, to ja zamiast bić moskala, z bandażami mam chodzić?

I właśnie sędzę, w tem „biciu“ moskala leży jądro kwestyi. Żołnierz jest to ten, który bije, sanitaryusz zaś z biciem conajwyżej tyle ma wspólnego, o ile bicie to na własnej odczuje skórze. Nie zna on ni poezyi całego początku walki tyralierskiej, ni upojenia biegiem do ataku, ni szafu samej walki i uczuć tryumfu, gdy wróg legnie u nóg bez życia, lub na łaskę się oddaje i nielaskę, o życie tylko prosząc. Nie zna tego sanitaryusz, dla niego tylko mędra i nie-szczęścia wojny, dla niego tylko twarze kolegów, którzy zostali za linią naprzód biegnącą, z twarzą kureczem śmiertelnym skrzywioną, lub obezwładnieni, wyrwani nagle i brutalnie z życia i postawieni na drodze, z której tak wielu, niestety, nie zwraca.

Roman Woynicz.

Restauracja „ALKAZAR”

ul. KRÓLEWSKA № 11.

10225

WYKWINTNA KUCHNIA—PRZYJMUJE ZAMÓWIENIA—CENY UMIARKOWANE—GABINETY.

Poleca **wina** z piwnic **J. Lijewski i S-ka**.
Z poważaniem **Henryk Herbst**.

Wielka oszczędność

Mydłobor

Doniosły wynalazek

w taflach funtowych.

Najnowszy wynalazek chemiczny prof. Felicjana Borysławskiego, zatwierdzony przez J. E. p. szefa Administracji przy J. G. Warszawskiem za № IV c. 10688.

Pierwszorzędny środek do prania białizny, jedwabiu wełny i do mycia ciała, nie zawiera absolutnie szkodliwych substancji. Żądać we wszystkich pierwszorzędnych składach aptecznych i mydlarniach.

Reprezentant na ziemię Warszawską, Litwę i Wołyń
Br. Rydzewski, Marszałkowska 33.

Nie niszczy białizny.

SPRZEDAŻ:
Marszałkowska 33, Wielka 41 m. 30,
Biała 7, m. 8.

10224

Znakomicie myje ciało.

PISMA

Gabryeli Zapolskiej

Modlitwa Pańska. Z ilustracjami St. Sawiczewskiego. Rb. 1.—

Pani Dulska przed sądem. Z ilustr. kop. — 60

Ich czworo. Tragedya ludzi głupich w 3 akt. „ — 60

Panna Maliczewska. Sztuka w 3 akt. „ — 75

Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

15017

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 24 lutego 1917 roku

Nr 8

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY.

18

Nastaly deszcze. I zwyczajem jędrzejewickim wieczorne koncerty muzyczne — zajęły miejsce spacerów po ogrodzie. Pan Gleba był niezłym skrzypkiem; ciotka Benisia bardzo kulturalną w gustach fortepianistką. Czasami wypadali z taktu i sprzeczali się ze sobą, po czyjej stronie wina. Lecz repertuar uprawiali pierwszorzędny: Cudne sonaty skrzypcowe Beethovena, który po za kilkudziesięcioma fortepianowymi sonatami — nie każdemu wiadomo, — że stworzył jeszcze genialniejsze skrzypcowe. A potem Mendelsonowskie duety, transponowane z wiolonczelą na skrzypce. A potem szedł Brahms i Grieg, który po za tematami ściśle narodowymi potrafił wżyć się w ból i w radości ogólnoludzkie.

A potem koncertowały panj Polewska z Zosią. Matka, bardzo dobrze wyszkolona, z głosem trochę startym — sekundowała młodzieńczemu głosikowi Zosi. Bez teatralnych aspiracji, i one uprawiały wyłącznie repertuar wyborowy: stare duety Glucka, z Mozartowskiego „Fletu Zaczarowanego“ i z „Wolnego Strzelca“ — Webera.

Romek, bardzo umyzykalniony, siedział zdala w cieniu pokoju. Z głową zatopioną w rękach, opartych na stole, wsłuchiwał się w dzwoneczkowy głosik Zosi, jak w trzepot aniołów.

Czasami matka z córką o tempa się sprzeczały. Zosia unosiła się i nie ustępowała. Zatargi te miały specjalny urok kłótni pomiędzy ludźmi dobrymi, którzy się kochają.

Romek rozkoszował się niemi, zarówno jak samą muzyką; tak, jak gdyby one należały do natchnień Glucka i Mozarta i były nierozdzielny dalszym ciągiem, harmonijnym zgrzytem akordowym tych geniuszów.

— Tak się śpiewa w Tworach — przerywała duet matka. — Pędzisz, jak gdyby ci chodziło o pierwszą nagrodę totalizatora.

Zosia odcięła się — zła, jak mały kogucik:

— Nie ja przyspieszam — tylko mamusia wszystko zwalnia, jak Battistini. Mozart — to nie włoszczyzna. Nie znoś ralentanda i tych ciągłych fermat belcanta.

— Uczysz mnie stylu?

— Ja nie uczę, tylko powiadam.

— Tak. „Nie mówię, tylko powiadam“ — stroiowała ją matka.

Romek w zachwycie wybuchnął młodzieńczą kaskadą szczęścia, jak gdyby go ktoś na sto koni wsadził. Aż Zosia z udanym oburzeniem — mitygowała go:

— Sam pan nie wie, czego się pan śmieje.

Miał ochotę ukłęknać przed nią i całować skraj jej sukni.

Lecz deszcze przestały padać. Niebo znowu przywdziewało swój królewski płaszcz błękitów w złote gwiazdy. Muzyka ustawała. Nowy impresaryo obejmował koncerty pod dyktando księżycy: zabrzmiała cudna orkiestra szmerów liści, koników polnych, woni kwiatów, rechotu żab, błysków gwiazd i robaczek świętojańskich.

Cała natura zmieniała stopniowo szatę wiosenną na letnią, jaskrawszą. Znikły już hyacenty, bratki, stokrotki. Zakwitły goździki i róże. I zapachy wciąż się zmieniały. Zamiast subtelnego bzów — poczęły wonieć odurzająco akacje, jaśminy. Zakwitły lipy; w polach narkotyzowały złotem łubiny, a w gąszczach lasów fioleciły się wrzosy.

Pewnego razu z powodu braku czasu z admonicyą, aby na podwieczorek nie spóźnić się — udali się z dzieciarnią na blizki spacer po alei królewskiej.

Żar słońca palił, jak ogniem, a parnota jakby usypiała zmęczone upałem kwiaty; zamilkło ptactwo, a cała natura jakby ziała z gorąca. Jedynie niestrudzone nigdy w figlach amorki — niewidzialnymi dłońmi — rozsypywały haszysz upojenia...

I dzieciarnia, choć zziębła potem i rozgrzana — nie ustawała w swych harcach i gonitwach. A w młodych sercach Romka i Zosi coś kotłowało...

Wysłuchiwali się zaciekawieni w te symfoniczne odgłosy dusz własnych; nie badając o nazwy melodyj z obawy, aby nie zamilkły. I siedzieli na ławce — rozkosznie wsłuchani, upojeni, zadumani, niemi...

Aż małemu Jankowi, wśród harców, niewiadomo, jakim cudem — wpadł naraz koncept wyrwania się na głos bezmyślnym dźwiękiem małej sroki lub papugi:

— Patrzcie! Ha, ha, ha! Zosia zakochała się w panu Romanie!

A Wacek, goniąc go, potwierdził w pędzie:

— Zosia jest zakochana w panu Romanie.

Nawet Hala, odbiegając od współników zabawy, ze znacznie mędrszym uśmieszkiem odrzuciła ją głębszym, niemem spojrzeniem małej kobietki — zdajacem się jaknajwy-

rażniej solidaryzować z trafnością obserwacji braci.

Biedna Zosia, zaczerwieniona po białka oczu w swoim zdemaskowaniu — miała uczucie, jakgdyby ktoś brutalnie rozebrał ją wśród tłumu ludzi do naga, i machinalnym ruchem zakryła sobie twarz rękami.

Dzieciarnia bezmyślnie, jak ptactwo — odbiegła od nich.

I Romek, party wiadomo jaką siłą, kusząc go do śmiałości — zbliżył się ku Zosi; gładził miłośnicie jej rękę, jakby błagając o przebaczenie, iż z jego powodu została narażoną na nietakt dzieci, które nie mogą pojmować, że istnieją boskie pieśni, dla których słowa są profanacją. A bierność, z jaką nie uchylała się od tej jego nieoczekiwanej śmiałości — zdawała się mówić:

— Teraz już wszystko jedno. Trudno! Niema już rady. Należę do ciebie.

I Romek naraz, pomimo świętości swoich modlitw do niej, w ciągłej niewoli owych szataników miłości, które kusiły go do świętokradztwa (z którego sobie sprawy w tej chwili nie zdawał, a dopiero później z powodu swojej bezmyślniej zwierzęcej brutalności policzkował się w rozpacz), pochwycił naraz oszołomioną, drżącą ptaszynę w swoje ramiona i przylepił gorące wargi do jej wonnych, jak rajski owoc, słodkich ust dziewczyczych.

Mieli uczucie, że w pocałunku tym, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej — łączył się miłośnicie cały świat dokoła: kwiaty, strumyki i motyle...

W uszach im szumiała jakaś niebiańska muzyka, jakby śmiech aniołów, a może i szatanów; bo rozkosz ich nie mieściła się w niebie; zapożyczała jakichś bolesnych tonów z otchłani piekła... Nie śmieli spojrzeć sobie w oczy, jakby wstydziła się tego, co w miłości nie jest anielskiem.

Zdała usłyszeli płacz Hali, która nadbiegła z żalem na braci: Oto wśród harców — przewrócili ją na pień drzewa, które czoło jej rozkrwawiło.

Zosia uspokajała siostrę i zemiściła się na chłopcach za rzucenie jej tak niedelikatnie trafnej obserwację, powodującą to, co się stać było nie powinno.

— Ach! Wy nieznośne bachory! Wieczne z wami utrapienie! Nigdy już z wami nie wyjdę. Wracamy do domu.

I, pomimo ich obfitych argumentów i tłumaczeń — uparła się przy pierwszej swej definicji.

— Nieznośne bachory!

Wyraz ten „bachory“, wymawiany młodzieńczym cudnym głosem ze śmiesznie uroczym gnie-

wem — męczył Romka przez całą noc, niby dolewana oliwa do ognia, którym całe ciało jego wrzało.

Nazajutrz Romka, zamierzającego rzucić zwykłą ranną niemą modlitwę storom jej okna — spłoszyło nieuczynie zbyt głośnym swoim śpiewem rozbawione dziś jeszcze bardziej, niż zwykle — gadulcze ptactwo.

I naraz za serce go coś ścisnęło: W mózgu zaczęła się jakaś odwieczna przypowieść:

— Rankiem ptaszek śpiewa; nocą kot go zjada!

A oto jakby wyrosła nieoczekiwanie wśród drogi tuż przy tarasie ciotka Benisia, jeszcze w neglizju. Wydawała się ogromnie przejętą jakąś rozmową z nieuczesaną jeszcze panną Polewską, z Tomaszem, kucharzem i całą służbą, uroczyście słuchającą jej poleceń.

Romek, złapany na gorącym uczynku, spiekił raka:

— Rankiem ptaszek śpiewa; nocą kot go zjada. Masz babo redutę!

Ciotka Benisia swoją zimną równowagą stale mu imponowała. Zresztą od czasu, kiedy zmuszony był na sprawunki w miasteczku — zażądać od niej zaliczki na pensję — czuł się jeszcze bardziej jej podwładnym.

Lecz ciotka Benisia, ku jego zdziwieniu, przywitała go uśmiechem, nie pryncypała, lecz krewnej.

— Panie Romanie, (!!) czy wie pan, od kogo otrzymałam dziś list?

— ?

— Od brata pańskiego, doktora Henryka. Sprawił mi ogromną przyjemność: Zawiadamia mnie, że udało mu się w ciągu miesiąca zwalczyć wszystkie przeszkody i że ostatecznie będzie mógł w przejeździe na swoje zwykłe zagraniczne ferye —

zawadzić tym razem o Jędrzejewice, w których zabawę kilka dni.

Romek bąknął coś bardzo niewyraźnego, ponieważ i dusza jakąś bardzo niewyraźną pieśnią mu brzmiała.

Przyjazd brata zepsuł mu dziś jego ranną okienną modlitwę. Ale za to zyskał bardzo miły uśmiech ciotki Benisi. Doktor Horski najwidoczniej imponował jej, nie tyle — rzecz prosta — swoją sławą lekarską, ile klientelą i towarzyskimi stosunkami z najwyższego high-life'u, oraz całym wielkopańskim trybem życia, który podczas swoich wizyt w Warszawie nie uszedł jej bacznej uwagi; a ceremoniał dworski, jaki roztaczał w swoim gabinecie modnego lekarza — wprost ją olśnił.

Romek, zawróciwszy z przerwanej drogi, udał się do pokoju chłopców na lekcję. Chaotyczny stan jego duszy, nie wiedzącej, czy cieszyć się przyjazdem średnio sympatycznego, rzadko spotykanego brata, czy martwić — nie decydował się przez cały dzień na ostateczną konkluzję.

Pochlebiało mu to nadzwyczajne przejęcie się całych Jędrzejewic przyjazdem jego brata. To całodzienne przygotowanie dla gościa pierwszej klasy, po którego posyła się na stację nie bryczkę, lecz powóz z nowymi szorami i odświętną liberyą stangreta.

Do uszu jego dolatywały specjalne polecenia służbie, szczegóły menu, kto przy kim ma zasiąść u stołu, jakie przywdziać stroje, jaki plan zabaw wymyśleć.

Dalszy ciąg nastąpi.



MIECZYSLAW PRZEDBORSKI.

Legionom.

*W mundurach szarych, niby huf spiżowy,
W odblaskach zwycięstw na bagnętów stali.
Niesieni rytmem pobudki bojowej,
Szli przez stolicę, jakby w słońcu cali.*

*W mundurach szarych, ojczyzny pątnicy,
Rycerze polscy, twórcy wiecznej chwały,
Przysięgę wierną szli złożyć stolicy,
Sztandary w słońcu, jak złote, gorzały.*

*W mundurach szarych, z pieśnią wolnych dumna,
Kres swej świecili wędrówki tułaczey
I byli niby światłości kolumna,
Co szlak promienny wolnej Polsce znaczy.*

Zmartwienia Pana Hamelbeina.

Komedia w 3-ch aktach.

8

SCENA 9.

LEŃSKI — PREZES — AUGUST.

(W salonie gra w dalszym ciągu muzyka. Przez otwarte drzwi widać chwilami tańczącą Dzidzię).

LEŃSKI (prowadzi prezesa na przód sceny). Mam do prezesa prośbę.

PREZES. Stucham.

LEŃSKI. Prawdopodobnie za chwilę powróci Hamelbein.

(August nastłuchuje).

PREZES. Tak.

LEŃSKI. On jest podrażniony... ma jakieś nieporozumienie z żoną... jest w stanie zrobić coś takiego, co mogłoby rozbić całe nasze przedstawienie...

PREZES (poważnie). Byłaby to niepowetowana szkoda.

(August, widocznie zainteresowany, zbliża się do nich).

LEŃSKI. Należy temu przeszkodzić. Gdy przyjdzie, prezes wsiaśnie na niego z góry, że się spóźnił, że jeszcze nie przebrany. Weźmiecie go panowie pod ręce, zaprowadzicie tam (gest w stronę drzwi na prawo). On jest wytrącony z równowagi... łatwo straci głowę... a gdy będzie w kostymie tyrolskim, z trąbką w ręku, już damy sobie radę.

AUGUST. Nie rozumiem...

LEŃSKI (przerywa). I niema potrzeby! Niech pan tylko dopomóż prezesowi (do prezesa). Z całym autorytetem! — Pan jeszcze nie ubrany? Wszyscy czekają! Wszyscy pytają o pana... Prędko... Tutaj...

AUGUST. Ale po co? W jakim celu?

LEŃSKI (zniecierpliwiony). Mój drogi panie, za długo byłoby tłumaczyć... (ciszej). Nawarzył pan piwa, które teraz wszyscy pić musimy.

AUGUST (zmieszany). Ja?

LEŃSKI (j. w.). Pewno, że nie ja... (z salonu wchodzi Lola, Ewa i Krystyna). O! nasze panie!

SCENA 10.

CIŻ — LOLA — EWA — KRYSTYNA — później LAFIRDECKI.

(Krystyna i Ewa w krynolinach i sukniach stylowych, Lola w stroju tyrolskim).

LEŃSKI (rozłożył ramiona szeroko, — z zachwytem). Świetnie!

Wspaniale! Słowo daję!... (całuje po kolej w ręce).

(Prezes i August witają się również).

EWA (idzie z Leńskim na przód sceny — zdenerwowana (półgłosem)). Nie był?

LEŃSKI (półgłosem). Był.

EWA (j. w.). I co?

LEŃSKI. Ma za chwilę wrócić.

EWA. Co będzie? Jestem taka niespokojna!

LEŃSKI. Niech się pani nic nie obawia. Idzie o to, żeby go przerosić zaraz na tyrolczyka.

EWA. Pan sobie żartuje!

LEŃSKI. Wcale nie. Niech go tylko mamy z gołymi kolanami, i w kapelusiku z piórkiem, z trąbką w ręku... Czy pani sądzi, że w takim stroju można być Otellem? Byłby jedynie śmiesznym... sam to odczuje...

EWA. Nie rozumiem... (zbliża się do nich Krystyna, prezes, Lola i August stają w drzwiach salonu).

LEŃSKI (całuje Ewę w rękę). Trzeba mnie to zostawić (do Krystyny). Wszyscy gotowi, braknie tylko pana Hamelbeina. Proszę pani, gdy przyjdzie, niech pani mu zrobi porządną awanturę, że jeszcze nie gotów. Tam (gest na prawo) jego kostium (ciszej). Niech pani to uczyni dla mnie... (Ewa odsunęła się cokolwiek, August poczynił lawirować, żeby się do niej zbliżyć).

KRYSTYNA (śmieje się). Dobrze! będzie się miał z pyszna! (ciszej). Co się dzieje z Ewą? Rozstrojona, nic nie mówi... Zły znak, że nic nie mówi... Nie mogłam się pytać... Bałam się, żeby się nie domyśliła...

(Z salonu wpada Lafirdecki).

LAFIRDECKI (do Leńskiego, tonem gwałtownej rozpaczy). Panie droguśienki! Z tego nic nie będzie! Ta pani nie ma do hiszpańskiego tańca żadnej elokwencji!

LEŃSKI (obojętnie). Użycz jej pan swojej.

LAFIRDECKI. Moim obowiązkiem jest uprzedzić pana. Jeśli kto nie ma pieprzu, ja go nie stworzę. Potem frekwencja będzie niezadowolona.

LEŃSKI (zniecierpliwiony). Panie Lafirdecki! Pan wie, gdzie pieprz rośnie?

LAFIRDECKI (zgłupiał). Dla czego?

LEŃSKI. Ja panu pokażę (bierze go za ramię i prowadzi do salonu. Krystyna, śmiejąc się, idzie z prezesem za nimi i staje w drzwiach, obok Loli).

(August znalazł się sam z Ewą na proscenium).

AUGUST (półgłosem, obejrzawszy się). Dlaczego pani nie przyszła? Anj słówka wiadomości!

EWA (zła). Pan jeszcze nie wie? Adam otworzył list.

AUGUST (przysiadł z wrażenia na krześle). Mój list?

EWA (j. w.). Przecież nie mój! Ja nie piszę.

AUGUST. I co?

EWA (podrażniona). I co?... Ogromnie się ucieszył. Jest w najlepszym humorze. Nie wie tylko jeszcze, jak nam okazać swoją wdzięczność.

AUGUST (skwapliwie). Może będzie lepiej, jeśli mu się nie będę nasuwał, skoro ma tu przyjść.

EWA (szydlerczo). Wolałby pan także sprawdzić, gdzie pieprz rośnie!...

AUGUST (prawie płaczący). Pani jest dla mnie nielitościwa.

EWA. Bo czegoż się pan denerwuje? List przecież bez podpisu... pisany na maszynie...

AUGUST (przypomniawszy sobie te okoliczności, nie zdołał utłumić uczucia radosnej ulgi). Prawda!

EWA (zmierzyla go pogardliwym wzrokiem). Panu nic nie grozi. Tylko mnie.

AUGUST (obruszony). Proszę pani, ja gotów jestem wziąć całą odpowiedzialność.

EWA. Tegoby jeszcze brakowało!

AUGUST (płaczący). Więc co ja mam zrobić?

EWA. Niech pan słucha, co pan Leński mówi...

(W drzwiach od salonu stanął Leński).

LEŃSKI. Uwaga! (szepnął w drzwiach parę słów Loli, i przemyka drzwi od salonu tak, że w gabinecie zostają tylko prezes, Krystyna, Lola, Ewa i August).

SCENA 11.

PREZES — KRYSTYNA — LOLA — EWA — AUGUST — ADAM (w żakiecie).

(W drzwiach z lewej strony pojawia się Hamelbein. W tej scenie wszyscy mówią szybko, nieomal razem, bieg jej jest raptowny).

KRYSTYNA (żywo). Nareszcie... (biegnie ku Adamowi). Czekamy wszyscy na pana.

PREZES (*tak samo*). Co się z panem dzieje!

LOLA. Jak można się tak spóźniać! Ja od godziny jestem ubrana!

ADAM (*stropiony*). Ja tu już raz byłem, ale pana Leńskiego nie trafiłem (*postrzegł Ewę i ponosi go gniew*). Czy pan Leński jest?

PREZES. Jest... jest (*wskazuje salon*). Tam próba w pełni... Prędko, panie Hamelbein, niech pan się przebiera...

KRYSTYNA. Niema chwili do stracenia!

ADAM (*wita się z Augustem, czuły*). Byłem u pana... (*ściska serdecznie jego rękę*). Miałem panu dużo do powiedzenia.

AUGUST (*spiesznie*). To już później. Teraz niech się pan ubiera. Panie prezesie! Zaprowadzimy pana Adama...

PREZES (*bierze go za ramię i wskazuje na prawo*). Tam pański kostium.

ADAM (*wydziera się*). Kiedy ja, proszę państwa, dziś nie mogę. Ja mam zmartwienie... ja nie mam żadnego usposobienia do zabawy.

PREZES (*surowo*). Panie Hamelbein, tu jest obowiązek do spełnienia! Panu nie wolno usuwać się od obowiązku.

KRYSTYNA (*żywo*). Od godziny czekamy na pana...

Lola (*popycha Augusta i prezes*). Bierzcie go, panowie, okażcie trochę energii... (*Prezes i August biorą Adama pod ramiona*).

PREZES. Potem pan wszystko opowie.

AUGUST. Nie wolno panu.

KRYSTYNA. Chce pan, żeby próba wcale się nie odbyła?

LOLA. Chce pan zerwać przedstawienie?

PREZES. Bilety wszystkie rozprzedane! Całe towarzystwo poruszone!

ADAM (*próbując się jeszcze opierać*). Kiedy ja naprawdę mam bardzo duże zmartwienie...

PREZES. Obowiązek przede wszystkim, panie Hamelbein!

LOLA. Za pięć minut musi pan być gotów! Inaczej byłabym śmiertelnie obrażona...

(*August i prezes pociągają w drzwi na prawo Adama, który z niešťczęśliwą miną przestaje się w końcu bronić*).

SCENA 12.

LOLA — KRYSTYNA — EWA —
potem LEŃSKI — LAFIRDECKI.

LOLA (*śmieje się*). Co tu się właściwie stało? (*do Ewy*). Pokłóciście się?

EWA (*wymijająco*). Trochę.

LOLA (*do Krystyny*). Trzeba było naprzód ich pogodzić!

KRYSTYNA. Pogodzą się sami. (*Wdrzwiach od salonu ostrożnie ukazuje się Leński*).

LEŃSKI. Gdzie pan Hamelbein?

KRYSTYNA (*śmiejąc się, wskazuje drzwi na prawo*). Tam!

LOLA. Ubiera się... prezes i pan August pilnują go.

LEŃSKI. Doskonale! Wszystko w porządku! (*gest w stronę salonu, gdzie muzyka gra inną melodię i widać chwilami tańczącą pannę Materasównę*). Tam praca wre! Teraz rozwija swoje wdzięki panna Materac. Słowikiem, który ją rozkocha i uwiedzie, będzie zdaje się pan Lafirdecki.

EWA (*stroskana, na stronie*). Ja się okropnie boję tej chwili, kiedy on się spotka z panem!

LEŃSKI (*pólgłosem*). Wszystko idzie jak najlepiej!

EWA (*objęła go czułym spojrzeniem*). Ja panu ufam!

(*Zamieniają uścisk dłoni, który nie uszedł uwagi Krystyny*).

KRYSTYNA (*z uśmiechem*). Nowy sojusz?

(*Lola przeszła do salonu*).

LEŃSKI (*bezcelny*). Może zmiana oryentacji...

KRYSTYNA. Gdzież trwałość zasad?

LEŃSKI. W polityce, droga pani, jeśli jedna zasada nie da się zrealizować, trzeba szukać innej.

KRYSTYNA (*kryje w uśmiechu ledwie dostrzegalną urazę*). Oportunisto!

EWA (*zajęta swymi myślami, nie zrozumiała tej szermierki słów*). O co wam właściwie chodzi?

KRYSTYNA (*j. w.*). Dyskusja polityczna!

(*Wpada z salonu Lafirdecki*).

LAFIRDECKI (*do Leńskiego*). Panie radco szanowny, trzeba konsekwentnie zastanowić się...

LEŃSKI (*podrażniony poprzednią rozmową, przerywa*). Skądże pan, u diabła, tytułujesz mnie radcą?

LAFIRDECKI (*cokolwiek zdziwiony, lecz pobłażliwy*). W kulturalnym towarzystwie zawsze się tak mówi... (*zmiana tonu*). Tam, szanowny (*zawahał się sekundę*) paniusiu, trzeba skoordynować esencjonalną zmianę...

LEŃSKI (*j. w.*). O co panu chodzi?

LAFIRDECKI. Małe szase-kruaze. Ta dama, co robi hiszpankę, za tańczy rozmazaną różę. Taniec hiszpański oddamy Materacykowi. Kostiumikę się zamieni... Panna Materacyk ma pieprz! (*wystrzelił palcem przy ustach, jak korkiem od szampańskiego*). Rzetelny pieprz... turecki!

LEŃSKI (*przerywa*). Panie Lafirdecki, pan nas nudzi już swoim pieprzem!

LAFIRDECKI (*podniecony*). Jako kierownik artystyczny, czuję się w ewidencji...

LEŃSKI (*przerywa*). Mój drogi panie, nie rób pan hrabiego, tylko pilnuj, czy tam wszyscy ruszają nogami, jak należy...

LAFIRDECKI (*obrażony*). Najprzód, ja nie mam potrzeby robić hrabiego, a potem, to nie jest żadne wyrażenie, zwłaszcza przy damach...

LEŃSKI (*zły*). Skoro znajdę lepsze, przyjdę panu powiedzieć (*do Krystyny i Ewy, które uśmiechają się*). Niech panie pozwolą... (*zaprasza je gestem do salonu — do Krystyny*). Teraz kolej na piosenkę...

(*Leński, Krystyna i Ewa przechodzą do salonu*).

Dalszy ciąg nastąpi.

Papcio pisze satyrę.

...Moja droga, muszę ci i to jeszcze opisać! Jak kiedyś się skończy wojna (powiadają, że teraz to już naprawdę niedługo, od czasu, jak tyle okrętów idzie codziennie na dno — nie wiem, czy wy tam w Moskwie wiecie o tem?), oż, jak kiedyś po wojnie wrócisz do Warszawy, przeczytamy sobie raz jeszcze i uśmiejesz się strasznie!

Więc, uważasz, wczoraj papcio i mamcia urządzili sobie mały fajfik rodzinny, taką herbatkę „od magła”, co to: „moja kochana, po czemu to już ten cukier!”, — „a, mój Boże, kiedy się te kartki skończą nareszcie!”, — a „koalicja, uważa szwagier”, — a „wiecie co, może pójdziemy do Rudego Kota”, i tym po-

dobne „endecyzyny”... My tam z Manią na te neutralistyczne zbiórki rodzinne z zasady nie uczęszczamy, ale nie broniliśmy rodzicom, bo jak drzwi są dobrze zamknięte i hałas od ulicy, to nam to wcale nie przeszkadza, więc dlaczego się starsi nie mają rozerwać? Zapowiedziałśmy tylko, że wcale nie przyjdziemy i na tem by się było skończyło. Ale podczas fajfu słyszę nagle, że się — śmieją. Aż się rozległa! Zdziwiona, przykładam ucho do ściany — papcio recytuje coś na głos, a cały magiel rodzinny pęka ze śmiechu! Rzecz niesłychana, oni się śmieją! Ale byłabym się nie nie dowiedziała, bo od ulicy hałas i przez ścianę źle słyhać, dopiero na trzeci

dzień babcia Mania przynosi mi, uważasz, pod sekretem i pokazuje... Nigdybyś nie zgadła, moja droga. Nasz papcio — literat! Ajakże! Napisał satyrę na nasz niedzielny raucik. (Bo nie wiem, czy wiesz, że u nas w tym roku wcale nie było karnawału, tylko Wielki Post trwa już od Nowego Roku, więc balów niema, tylko rauty).

Ale wracając do naszego papcia, to on jest klasa; powiadam ci, on tak poważnie to napisał, jakby to był początek jakiej powieści do „Świata“. Bo posłuchaj tylko:

„Już od dłuższego czasu dochodziły nas, gromadkę starszych, echa (przyczyszanych za naszym ukazaniem się) rozmów, z których jasne nam było, że w domu dzieci zamierzają wydać — raut. Nie śmieliśmy się pytać, bo wiedzieliśmy, że starzy i ryby nie mają w roku 1917-m głosu, natomiast czekaliśmy cierpliwie. Jakoż, w przeddzień oznajmiono nam, że raut odbędzie się nazajutrz, że zacznie się o godzinie wpół do siódmej i że, jeżeli przyrzekniemy, że będziemy się sprawać cicho, będziemy mogli pozostać w pokoiku cioci Naci do godziny ósmej wieczorem. Ale zakazano nam surowo kręcić się po salonie, kiedy młodsi będą fiksować. Cioci Naci wręcz zagrożono, że dostanie klapsa, jeżeli się pokaże i będzie się napierała, żeby jej przedstawiono jakiego chłopczyka lub dziewczynkę. Ja jeden dostałem pozwolenie na parokrotne ukazanie się w drzwiach, gdyż jako papcio mogę się przydać do głośnego wymawiania nazwisk i wieszania kapeluszy. Mamci także pozwolono wejść parę razy, ale pod warunkiem, żeby zawsze przyniosła ze sobą świeżą tacę paczków. Wychowane w dobrej szkole rygoru, dzieci nasze pomyślały o wszystkim. Przed samym rautem oznajmiono nam, że babcia Mania zabierze nas wszystkich do siebie na noc, abyśmy się mogli wyspać i o swojej porze pójść jutro do biura i do zajęć. Jakoż, punktualnie o ósmej ukazał się w drzwiach saloniku najmłodszy z fiksujących Kostuś, i stanowczym głosem polecił nam się ewakuować do babci, Ciocia Nacia rozplakała się serdecznie i prosiła, żeby jej wolno było zostać jeszcze troszeczkę; mamcia, która przed chwilą zaniósła ostatnią tacę z ciastkami, nie nie mówiła, ale także rada była popatrzeć się jeszcze, tylko jeden papcio był kontent, że może odejść, bo od ciągłego zawieszania kapeluszy i wymawiania cudzych nazwisk zrobiło mu się cieżko. Ale nie było rady, do przedpokoju wyszły obie dziewczynki, ucałowały papcia i mamcię w czoło, pogłaskały po głowie ciocię Nacię, dały jej cukierka, żeby nie płakała, poczem poleciły papciowi, żeby dobrze uważał na przejściach i wyprawiły wszystko troje starszych do babci Mani na noc. Papcio ciekawski raz jeszcze zajrzał do salonu. Kilkanaście par działyw siedziało poważnie wkrąg salonu, i po zjedzeniu wszystkich paczków i faworków, gotowało się w skupieniu do wysłuchania śpiewu, poczem dopiero miały nastąpić popisy deklamacyjne. — Biedne dzieci — westchnął papcio — kiedy oni będą starymi, jeśli w zaraniu życia muszą już znosić takie tortury! Po-

czem pociągnął buczącą wciąż jeszcze ciocię Nacię za rękaw i wszystko troje, wzięwszy się za ręce, posłusznie wyszło na schody“...

„Paradny ten papcio, co? Ale najparadniejsze jest to, że on wcale nie wiedział, że tego rautu u nas wcale nie było, bo jak tylko jedna z koleżanek podeszła do fortepianu, żeby zaśpiewać, zaraz krzeselka zaczęły się odsuwać i stół wyjechał do drugiego pokoju, tak że popisy trzeba było przerwać. To też nazajutrz u dziewczynek Zdurskich wcale nie robiliśmy żadnych popisów, tylko odrazu po paczkach zaczęliśmy tańczyć. No, ale tam był obóz aktywistyczny, tam samych legionistów było dwunastu! Do ósmej rano trwałyśmy na stanowisku! A u nas co? „Cywilbanda“ i raptem jeden peowiak! To też o godzinie

drugiej piecuchowałyśmy już w łózkach i wcale się niepotrzebnie papcia i mamcię ewakuowało z domu.

Wogóle, moja droga, jest nie wesoło. Społeczeństwo, jak to u nas zawsze, rozbiło się na dwa obozy: jedni utrzymywali, że można tańczyć, drudzy, że tańczyć nie trzeba. Wiecznie ta polityka! Powiadam ci, gdyby nie obóz czynnej walki z Rosją, zupełnieby było głupio. Szczęściem, że jest już popielec, więc chyba te właśnie ustana. Tembardziej, gdy zacznie się post naprawdę... Ciekawam, jaką znów papcio będzie pisał satyrę?

Swoją drogą, wiesz Zośka, w tej chwili chciałabym być razem z tobą: wy tam w Moskwie jeszcze trzynastcie dni możecie rautować...

B. Górczyński.

Józef Conrad.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

W oczach Zachodu.

8

POWIEŚĆ.

Razumow przysunął sobie ćwiartkę papieru i zaczął kreślić na niej zygzak ołówkiem.

— Na honor — pomyślał gniewnie. — Ten troszczył się o bezpieczeństwo wszystkich, tylko nie o moje.

Haldin mówił dalej:

— Dziś rano, a! dziś rano, to było co innego. Jak ja ci to wytłumaczę? Nim to się stało, włóczyłem się po nocy, a w dzień leżałem w ukryciu, układałem w myślach wszystko i byłem spokojny. Nie mogłem spać, ale byłem spokojny. Czemuż się miałem dreczyć? Ale dziś... potem... Och! nie byłbym wytrzymał w tym domu tak pełnym nędzy... Niedola tego świata nie daje spokoju. A potem, gdy ten głupi stróż zaczął wrzeszczeć powiedziałem sobie: „Jest w tem mieście młodzieniec przerastający głową pospolite przesady“.

— Czy on sobie drwi ze mnie? — pomyślał Razumow, wciąż kreśląc kółka i trójkąty po papierze. I nagle zaniepokoił się: Moje zachowanie może mu się wydać dziwnem. A nuż się przestraszy i zbiegnie, to będzie po mnie... Ten przeklęty generał...

Upuścił ołówek i zwrócił się raptem ku łóżku, gdzie wyciągnięta postać Haldina rysowała się znacznie słabiej, niż tam na chodniku, gdy po niej przeszedł bez wahania. Było to także widziadło?

Nastało milczenie.

— Już go tu niema — myślał Razumow, walcząc rozpaczliwie z tem dziwnym przywidzeniem. — Poszedł sobie... o to jest... tylko...

Nie mógł wytrzymać dłużej. Zerwał się na równe nogi i powiedział głośno: „Jestem strasznie rozdrażniony“ w kilku krokach znalazł się przy łóżku. Ręka jego dotknęła lekko ramienia Haldina i gdy tylko wyczuł, że to on leży rzeczywiście, opanowała go szalona żądza chwycić to odsłonięte gardło i wydusić ostatnie tchnienie z tego ciała, by mu się nie wymknęło, zostawiając jedynie cień na swoim miejscu.

Haldin nie poruszył się; tylko oczy jego spojrzały z głęboką wdzięcznością na Razumowa, za ten objaw uczucia.

Razumow odwrócił się i zaczął chodzić po pokoju.

— W gruncie rzeczy to byłoby dobrodziejstwem — mruknął do siebie i aż się przestraszył tego usprawiedliwienia morderczej pokusy. A mimo to nie mógł się jej oprzeć. Zaczął ją rozważać na trzeźwo.

— Boć ostatecznie, czego się on może spodziewać? — myślał. — Stryczka. A ja — — —

Tu przerwał mu głos Haldina.

— Nie troszcz się o mnie. Mogą zabić moje ciało, ale nie wygnają mojej duszy z tego świata. Widzisz, ja tak mocno wierzę w ten świat, że nie mogę sobie wyobrazić wieczności inaczej, jak jakieś bardzo długie życie. Może dlatego jestem tak gotów na śmierć!

— Hm! — mruknął Razumow i przygryzłszy dolną wargę, chodził w dalszym ciągu po pokoju.

Tak; dla człowieka w położeniu tamtego — to, oczywiście, byłoby dobrodziejstwem: ale

— Ja, również, Wiktorze Wiktorowiczu, wierzę w ten nasz świat — rzekł z mocą. — Ja również, póki żyję... Ale ty, zdajesz się brać w rachubę jakieś pozagrobowe bytowanie na nim... Nie myślisz chyba na seryo...

— Pozagrobowe bytowanie! — powtórzył Haldin. — Tak; bo i po za grobem ścigać będę gnębieli dusz łakących udoskonalenia, morderców postępu i wolności! Co się tyczy morderców mej ziemskiej powłoki, przebaczyłem im już zgóry.

Razumow przystanął na pozór, aby słuchać; ale jednocześnie obserwował swoje wrażenia. I zły był na siebie, że przywiązuje tyle wagi do tego, co Haldin mówi.

— To wariat — pomyślał, stanowczo, ale ta opinia nie ułagodziła go względem Haldina. Boć to było szczególnie zuchwałe waryactwo; a gdy zaczynało wsiąkać w publiczne życie narodu, to, oczywiście, obowiązkiem każdego dobrego obywatela było...

Tu ogarnęła go taka milcząca wściekłość i taka nienawiść względem Haldina, że zaczął mówić na traf:

— Tak. Wieczność. Ja również nie mogę jej sobie dobrze przedstawić. Wyobrażam ją sobie jednak, jak coś spokojnego i bezbarwnego, coś, co będzie pozbawione wszelkich niespodzianek i czasu.

Wyjął zegarek i spojrzał na niego. Haldin obrócił się bokiem i słuchał uważnie.

Razumowa przestraszył ten ruch. A nuż ten ślizki gość z jakimś widmowym sobowtorem wymknie się przed czasem? Podjął więc spiesznie:

— I tajemnic! Czy możesz wyobrazić sobie jakieś tajemnice w Wieczności? Podczas gdy życie jest ich pełne. Są na przykład tajemnice urodzenia. Człowiek nosi je w sobie do śmierci. Jest czasem coś komicznego... ale mniejsza. Zdarzają się również tajemnicze pobudki postępowania. Najjawniejsze czyny człowieka mają swoją ukrytą stronę. To bardzo ciekawe i takie niezgłębione. Ktoś na przykład wychodzi na spacer. Pozornie nic pospolitszego. A jednak może to być chwila rozstrzygająca w jego życiu. Spotkał na przykład jakiegoś pijaka, zauważył coś na śniegu i oto wraca zupełnie innym człowiekiem. Najnieprawdopodobniejsze rzeczy wywierają tajemniczy wpływ na czyjeś myśli: na przykład jakieś siwe wąsy, jakieś zezowate oczy.

Czoło Razumowa zwilgotniało. Przeszedł się parę razy po pokoju, uśmiechając się do siebie złośliwie.

— Czyś zastanawiał się kiedyś nad wpływem siwych wąsów i zezowatych oczu? Pozwól. Myślisz może, że zwaryowałem i plotę od rzeczy. Ale nie. Widziałem przykłady. Znałem kogoś, o czym losie rozstrzygnęły tego rodzaju drobności. I on o tem nie wiedział. Oczywiście, wchodziło tu w grę i sumienie, ale te drobności rozstrzygnęły... A ty, Wiktorze Wiktorowiczu, mówisz mi, żebym się o ciebie nie troszczył. Jakże! Przecież jestem odpowiedzialnym za ciebie! — zakrzyknął nagle.

Z trudem powściągnął wybuch iście Mefistofelesowskiego śmiechu. Haldin, bardzo blady, uniósł się na łóżku.

— A niespodzianki życia — ciągnął dalej Razumow, spojrzawszy ukradkiem na tamtego. — Zważ tylko, jak są one zadziwiające. Tajemniczy popęd skłania cię, żebyś tu przyszedł. Nie mówię, żeś źle uczynił. Owszem; z pewnego punktu widzenia, nie mogłeś postąpić lepiej. Mogłeś pójść do człowieka mającego rodzinne związki, uczucia. Sam masz takie związki. Co do mnie, wiesz, że chowałem się w zakładzie, gdzie nam nie dawano jeść pod dostatkiem. Mówię o jakichś uczuciach odnośnie do podobnej instytucji... sam pojmujesz. A co się tyczy związków — jedyne związki, jakie mam na świecie, są społeczne. I muszę być w jakiś sposób przyjętym przez społeczeństwo, nim zacząć działać wogóle. Siedzę tu i pracuję. A czy myślisz, że nie pracuję również dla postępu? Mam swoje własne poglądy na prawdziwą drogę... Wybacz mi — ciągnął dalej Razumow, zaśmiewszy się krótko i gardłowo — ale nie odziedziczyłem rewolucyjnych skłonności wraz z podobieństwem po wuju.

Spojrzał znów na zegarek i zauważył z niesmakiem, że jeszcze wiele minut brakuje do północy. Wyrwał zegarek z kamizelki i położył go na stole w świetle lampy. Haldin wsparty na łokciu nie ruszał się. Razumowa zaniepokoiła ta postawa.

— Co on tak spokojnie planuje? — pomyślał. — Trzeba temu przeszkodzić. Muszę wciąż mówić do niego.

Podniósł głos.

— Jesteś synem, bratem, siostrzeńcem, krewnym, albo ja wiem dla ilu osób. Ja jestem tylko człowiekiem. Oto stoję przed tobą. Człowiekiem, który myśli. Czy przyszło ci kiedy do głowy, w jaki sposób człowiek, który w życiu nie słyszał jednego serdecznego słowa, będzie myślał o rzeczach, o których ty myślisz naprzód zgodnie z twojemi rodzinnymi tradycjami, kastowymi

przesadami lub przeciw nim? Czyś zastanowił się nad tem, jak taki człowiek czuć będzie? Ja nie mam żadnych rodzinnych tradycji. Moje tradycje są historyczne. Na cóż ja się mam oglądać, jeżeli nie na narodową przeszłość, od której wy, panowie, chcecie oderwać waszą przyszłość? Czyż moje zdolności, moje dążenia do lepszego losu mają być sparaliżowane dla widzimisię terorystycznych zapaleńców? Ty pochodzisz ze swoich stron, ale cały ten kraj jest moim — albo nie mam nic zgola. Niewątpliwie, kiedyś będziesz uważany za męczennika, za bohatera, za świętego w politycznym niebie. Ale ja się o to nie ubiegam. Poprzestaję na roli pracownika. I cóż wy zresztą zdziałacie, rozlawszy trochę krwi na śniegu? Przeciwno temu Bezmiarowi? Temu nieszczęsnemu Bezmiarowi! Mówię ci! — krzyknął sflumionym, drgającym głosem, postąpiwszy parę kroków ku łóżku — że nie widziałeś temu Bezmiarowi potrzeba — ale człowieka!

Haldin wyciągnął ręce przed siebie, ruchem zgrozy.

— Rozumiem teraz — wykrzyknął z przerażeniem i rozpaczą. — Rozumiem — nareszcie!

Razumow zachwiał się i oparł o stół. Zimny dreszcz przebiegł go od stóp do głów.

— Co ja mówiłem? — pomyślał. — Czyżbym się wygadał?

Czuł, że mu wargi tężeją. Próbował uśmiechnąć się życzliwie i skrzywił się tylko.

— Cóż chcesz? — zaczął pojednawczym tonem. — Cóż chcesz? Pomyśl tylko... Ja człowiek, spokojny, pracowity; a tu nagle... Nie umiem mówić z ogródka... Ale...

Uczuł, że znowu porywa go złość, mściwa złość.

— Cóż mieliśmy tu robić razem do północy? Siedzieć naprzeciwko siebie i myśleć o twoich... twoich...

Haldin słuchał w milczeniu w postawie wyrażającej wielkie zgnębienie. Wreszcie przemówił cichym, rozżalonym, ale spokojnym głosem:

— Widzę teraz, jak się rzeczy mają, Razumowie-bracie. Masz szlachetną, wspaniałomyślną duszę, ale mój czyn jest ci wstrętnym, niestety!...

Razumow milczał. Ze strachu tak zacisnął zęby, że aż go szczykl zaboląły. Gdyby chodziło o życie, nie byłby w stanie wydobyć z siebie głosu.

— I może nawet osoba moja jest ci wstrętna — dodał Haldin posepnie. Spojrzał na niego przelotnie i znów utkwiał wzrok w ziemię. — Boć, istotnie, o ile ktoś —

Urwał, oczekając widocznie, by Razumow coś powiedział. Ale Razumow milczał. Haldin pokiwał głową ze smutkiem.

— Oczywiście... Oczywiście... — szepnął. — A! ciężkie zadanie!

Pozostał czas jakiś nieruchomy, poczem zerwał się nagle. Razumowowi omal serce nie wyskoczyło z piersi.

— Niech i tak będzie — rzekł Haldin cichym, wyraźnym głosem. — Zegnaj, zatem.

Razumow zerwał się z krzesła, ale widok podniesionej ręki Haldina przykuł go do miejsca. Oparł się o stół ciężko, słuchając, jak gdzieś w oddali miejski zegar wydzwaniał godzinę. Haldin stojący już we drzwiach, wysoki, smukły, ze swą bladą twarzą i wzniesioną uroczyście ręką wyglądał, jak upostaciowanie zuchwałej młodości, wsłuchanej w jakiś głos wewnętrznym.

Razumow machinalnie spojrzał na zegarek. Gdy znów skierował wzrok ku drzwiom, Haldina już nie było. Zniknął, jak widziadło, tylko z przedpokoju doleciał lekki stuk odmykanej zasuwki.

Razumow wybiegł zataczając się do sieni i przechylił się przez balustradę. Ktoś zbiegał na palcach ze schodów. Poczem nastąpiła cisza.

Razumow wrócił z wolna do pokoju, zamykając drzwi za sobą. Jasne światło lampy padało na zegarek. Brakowało jeszcze trzy minuty do dwunastej. Wziął go do ręki.

— Późni się — szepnął. Kolana uginały się pod nim; ręka tak drżała, że zegarek wysunął mu się z palców i upadł na ziemię. To go tak przeraziło, iż o mało sam nie padł. Gdy wreszcie schylił się, by podnieść zegarek, przyłożył go zaraz do ucha.

— Nie idzie — mruknął, a potem dodał kwaśno:

— Stało się... a teraz do roboty!

Usiadł; wziął pierwszą z brzegu książkę, otworzył ją na traf i zaczął czytać. Ale ledwie przeczytał parę wierszy, stracił zupełnie watek treści i nie próbował nawet jej odnaleźć. Zaczął rozmyślać.

— Z pewnością jakiś agent polityczny pilnuje domu po drugiej stronie ulicy.

Wyobraził go sobie przyczajonego w cieniu bramy, z zezowatemi oczami, otulonego w płaszcz po uszy i w generalskim kapeluszu z piórami na głowie. Ta niedorzeczność tak go przestraszyła, że aż drgnął na krześle. Musiał wprost wstrząsnąć gwałtownie głową, żeby się jej opędzić. Nie; skąd... jeżeli będzie przebrany, to może za chłopą, albo za żebraka. A może za bandytę, cuchnącego wódką i surową cebulą.

Na tę myśl porwały go młodości.

— Czemu ja sobie tem głowę zaprzątam? — pomyślał z niesmakiem. — Czym ja żandarm? A zresztą... już się stało.

Wstał z krzesła podniecony. Nie; nie stało się jeszcze. Niema jeszcze wół do pierwszej. A tu, jak na złość zegarek stanął. Niepodobieństwo wiedzieć, która godzina. Gospodyni i wszyscy inni lokatorowie już śpią. Jakżeby mógł pójść i... Bóg raczy wiedzieć, co by sobie pomyśleli, czegoby się domyślili... Nie śmiał również wyjść na ulicę, by się dowiedzieć.

— Podejrzany jestem. Niema co owijać tego w bawełnę — pomyślał z gorczyzą.

Jeżeli z tej lub innej przyczyny Haldin nie pójdzie na Karabelną i wymknie się im, policya się tu zbierze. A gdyby go w domu nie było, nie mógłby się usprawiedliwić. Nigdy!

Razumow rozejrzał się dokoła z rozpaczą, jakgdyby szukając jakiejś drogi dowiedzenia się, która godzina. O ile pamiętał, nigdy jeszcze nie słyszał tego miejskiego zegara ze swego pokoju... Może i teraz tylko mu się zdawało.

Przystąpił do okna i stanął z lekko nachyloną głową nadsluchując.

— Będę tu stał, dopóki czegoś nie usłyszę — rzekł do siebie, z uchem, zwróconem ku szybie. Nogi zaczęły mu drętwieć, a jednocześnie przenikał go ostry ból w krzyżu i łydkach. Ale nie ruszał się. Był blizkim obłędu. W pewnej chwili powiedział głośno: „wyznać“, jak człowiek wzięty na tortury. Czuł, że zemdleje. Słaby, daleki dźwięk zegara odbił mu się pod czaszką, jak wybuch... tak wyraźnie go usłyszał. Pierwsza!

Gdyby Haldin nie wpadł im w ręce, policya jużby tu była... Ale wszędzie panowała głęboka cisza. Teraz już stało się naprawdę.

Powłókł się z trudem do stołu i opadł na krzesło. Odrzucił książkę i wziął kwadratową ćwiartkę papieru, taką samą, jakich już stos, zapelnionych jego drobnem, wyraźnem piśmem, leżał na stole, tylko pustą. Umaczał raptownie pióro w kałamarzu, z jakimś mętmem przeświadczeniem, że będzie pisać swoją rozprawę, lecz długo trzymał je zawieszone nad papierem, wreszcie niepewnem, prawie dziecinny pismem nakreślił dużemi literami jedną pod drugą pięć linii:

Historja a nie teoria.

Patryotyzm a nie Internacyonalizm.

Ewolucja a nie Rewolucja.

Rząd a nie Anarchia.

Ustrój a nie Rozstrój.

Popatrzył na notatkę tępo, poczem wzrok jego zwrócił się ku łóżku i zatrzymał się na niem czas dłuższy, podczas gdy jego prawa ręka szukała omackiem po stole scyzoryka.

Znalazł go wreszcie, wstał, miarowym krokiem podszedł do łóżka i scyzorykiem wbił w tapetę zapisaną ćwiartkę w głowach łóżka.

Następnie odwrócił się, zdjął z wieszadła płaszcz, otulił się nim szczególnie i położył się na twardej, włosianej kanapie po drugiej stronie pokoju. Ciężki sen sklecił mu natychmiast powieki. Kilkakrotnie budził się cały drżący, śniło mu się bowiem, że błądzi po niezmiernych przestrzeniach zaśniewzonej Rosyi zziębnięty i opuszczony, i po chwili zasypiał znowu.

III.

Zbliżając się do tej części historyi pana Razumowa, coraz dotkliwiej odczuwam trudność mego zadania.

A trudność ta leży nie w samym opisie zdarzeń, ale w odzwierciedleniu moralnych warunków, w jakich się one działy, warunków tak prawie niepodobnych do zrozumienia dla nas, ludzi Zachodu, o ile, oczywiście, nie posiadamy do nich klucza.

W poszukiwaniu tego klucza po raz setny przeglądam dziennik pana Razumowa, odkładam go, biorę pióro, gotując się do pisania i znowu się waham. Bo ten klucz, który, zdaje mi się, że znalazłem, to nic innego, tylko „cynizm“.

Cynizm piętnuje zarówno rosyjską autokrację, jak rosyjską rewolucję. W swojej pysze z ogromu zrodzonej, w swych dziwacznych pretensjach do świętości, i w tajemnej gotowości do pocieszania się w cierpieniach duch Rosyi jest duchem cynizmu. On dyktuje ustawy mężów stanu, teorie rewolucjonistów i mistyczne bredzenia proroków, do takiego stopnia, że wolność w tem oświeceniu wygląda na coś w rodzaju rozpusty, a nawet same chrześcijańskie cnoty wydają się nieprzyzwolitemi.

Ale przepraszam za ten odskok. Wywołało go opowiadanie pana Razumowa, gdy jego konserwatywne przekonania, rozwodnione nieco w jakimś nieokreślonym liberalizmie, tak naturalnym w młodości, skryształizowały się w zetknięciu z Haldinem.

Dalszy ciąg nastąpi.



Tetmajer, jako krytyk literacki.

Znamy Kazimierza Tetmajera, jako poetę Tatr. Szersza publiczność czyta jego powieści. Młodzież powtarza jego erotyki. Ciekawe jest jednak, jak przedstawia się Tetmajer w krytyce literackiej? Patrzy on przecież tak samodzielnie i swoiście na świat, ujmując ludzi i zdarzenia tak indywidualnie. Opromienia nimbem poetyckim swoich „Zbóbników”, choć wydostaje na światło dzienne wszystkie realne linie ich psychiki. Współczesnych neurasteników i snobów widzi w pogardliwej barwie „małego domu”, by „w wielkim domu” obrzucić sarkazmem pamiętnika nauczycielskiego umiartowione sygnety rodowe naszej arystokracji.

Człowiek widzący życie współczesne tak po swojemu a wyraźnie, nic dziwnego, że i do życia literackiego, życia zamkniętego w książce zbliży się tylko przez pryzmat swojej mocno zarysowanej indywidualności. Nie będzie się silił wcale na bezstronność, nie będzie się odwoływał do obiektywizmu. Mówi o swoich umiłowaniach bez zastrzeżeń. Forma — jak cięcia brawurowe pałasza. I odsłania się wtedy przed nami Tetmajer duszoznawca. Widzimy Tetmajera — jako krytyka literackiego.

Tomik jego teraz wydanych „notatek literackich” jest dostateczną rekwizycją do sądów o Tetmajerze jako krytyku. Znajdujemy w tym tomie prace: „Poeci Tatr”, „O Wyspiańskim”, „Pieśń i czyn Konopnickiej”, „O Bolesławie Prusie”, „Z powodu poezji Z. Dębickiego”. W tomie tym znajdują się też dwie historyczne notatki: Bonaparte i Bitwa lipska. Postać Bonapartego należy do tych tajemnic ludzkich, które żywo i oddawna interesują i niepokoją Tetmajera. Stałe przed Napoleonem, jak przed żywiołem, ten poeta halnego, tatrzańskiego świata, twórca „Janosika Nędzy-Litmanowskiego”. I powie o nim: „Słońce rodzi zarówno życie, jak śmierć. Tak rodził je dookoła siebie Napoleon” (Str. 126). Odczuje w Napoleonie geniusz, rzecz najprostsza — instynkt.

Gdy zbliży się do twórczości Stanisława Wyspiańskiego — już w 1901 roku powie o nim wszystkie te prawdy, które zaledwie w lat kilka mozolnie odszukiwał w sobie różni „obiektywnie” na świat patrzący krytycy. Powie bez ogródek: „W Wyspiańskim jest istotnie coś natchnionego: to jest istotnie wieszcz”. I gdy sięgnie po Wesele, doda: „A wielki artysta, wielki malarz i poeta nie przestał być artystą, ani na chwilę. Jest w „Weselu” poezja, jakiej dawno u nas nie widziano. Obrazy niesłychane, język dziwny, od dziecinnej niemal naiwności aż do majwnioślejszego patosu, język tem przedewszystkiem świetny, że nie służący do niczego innego, tylko do wypowiedzenia myśli” (Str. 67).

A jak Tetmajer odczuje Prusę? Jednym rzutem odnajdzie punkt ciężkości jego psychiki: „Tacy ludzie, jak Prus, przed wiekami byli apostołami. Cisi, spokojni, pogodni, namiętni i fanatycy

przewodzą dzieło wybawienia duszy ludzkiej z jej pęt zwierzęcych. Tacy to ludzie, jak Prus, pragnęli i czynili, aby na ziemi zapanowało królestwo dobrej woli” (Str. 91).

Jak w Bonapartym odszukał żywioł, który nim władał, żywioł — możność myślenia o pięć minut wcześniej, niż inni śmiertelnicy — tak w twórcach odnajdzie zawsze wyraźny ton duszy i tylko ta dominanta pochłonie jego uwagę. Nie będzie się wdawał w zbytnie analizy. Pewną ręką kreśli uproszczoną, ale plastyczną i wyolbrzymioną postać, choć gdy zbliży się do świata półtonów, będzie i tu potrafił odnaleźć strunę zasadniczą. Z powodu poezji Zdzisława Dębickiego powie: jest ona podobna do łagodnej mazzartowskiej muzyki, ma w sobie coś z obrazów Watteau i coś z gajów Boecklina — ma także coś z Chopina i coś z Grottgera. A przedewszystkiem ma jedno: milczy. To czuć, że ona milczy i z hymnu zstępuje, bo musi, do prostej piosenki. Książki twoje z wierszami powinny być godziną ludzi o kulturze obyczajów, ludzi czeżących i kochających piękno” (Str. 107).

Nie bardziej trafnego i w słowach wymowniejszych nie można powiedzieć o Dębickim. Tetmajer odczuł w Dębickim właśnie to coś tak swoistego temu poecie, co „zstępuje z hymnu do prostej piosenki”. I znów okazał się psychologiem niezawodnym. Wreszcie jak Tetmajer umie barwnie ułożyć girlandę barw duchowych i odczuć przyrodę i ludzi — mówi jego szkic o poetach Tatr.

Tetmajer nawet w tych drobnych notatkach literackich zdradza swoją pewną i niezawodną metodę patrzenia na świat. Sięga zawsze po rzeczy najważniejsze, sięga w najgłębszy ton ducha i generalizuje rzecz ujmowaną pod kątem swojego widzenia. Czy sądy jego będą bezstronne? O nie wcale się nie kusi Tetmajer. Miłości swojej pozwala mówić otwarcie i nienawisć też nie tai. Tetmajer-krytyk literacki jest tak samo interesujący, pociągający, jak i Tetmajer-poeta. Indywidualność impulsywna, syntetyzująca w jednym słowie rzecz czy człowieka śmiało, otwarcie i szczerze feruje swoje sądy. „Notatki literackie” z tego względu są ponętą książką. Czyta się ją przecież dla poznania jeszcze jednej władzy twórczej Tetmajerowskiego ducha!

Tetmajer-krytyk jest indywidualnością nie mniejszą od Tetmajera-poety, choć w dziale krytyki wypowiadał się rzadko. Kto ceni w nim poetę — powinien też czempredziej zapoznać się z jego metodą ujmowania twórczości cudzej.

Eustachy Czekalski.



Z literatury.

Jan Sztolcman. — *Szkice ornitologiczne*. Warszawa. 1916. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowym imienia Józefa Mianowskiego.

Dobrze zrobił p. Jan Sztolcman, że wydał swoje „Szkice ornitologiczne”. Zawierają one zbiór prac, w znacznej części drukowanych już przedtem we „Wszechświecie”. Obecnie zebrane razem zostają one uprzyświecone każdemu. Książka zawiera dwie części: w pierwszej pomieszczone są monografie rozmaitych rodzin ptaków, druga zawiera prace głównie natury teoretycznej. Pisane stylem żywym, barwnym, utrzymane na poziomie przystępnym dla każdego, są te krótkie monografie niezmiernie interesujące. Opisuje w nich autor sępy, orły, ptaki drozdowate, grzebiące i szereg innych rodzin krajowych. Zapoznajemy się kolejno ze stanowiskiem poszczególnych grup ptasich w systematyce, z ich życiem, warunkami bytowania i biologią. Jednak na szczególniejszą uwagę zasługują opisy ptaków egzotycznych, głównie południowo-amerykańskich. Opisy te robione są na zasadzie własnych obserwacji autora, który, podróżując przez szereg lat po południowej Ameryce, mógł wnikać w najgłębsze tajemnice życia jej fauny i zanotować wiele faktów niezmiernie cennych i ciekawych. Doskonały popularyzator, umiał je opowiedzieć tak, że przeczyta je z zainteresowaniem i profan i specjalista-przyrodnik, który dowiadywał się z nich wielu rzeczy nowych, których często nigdzie pozatem w literaturze nie znajdzie.

Wysoką wartość posiada druga część książki. Dziś, gdy geografia zwierząt coraz szersze wśród zoologów budzi zajęcie, taką pracę o rozmieszczeniu ptaków ekwadorskich i peruwiańskich czyta się z wysokim zainteresowaniem. Uwagi i uogólnienia na ten temat są tu poprostu znakomite. Znajdujemy tu przykłady nieraz o wiele ciekawsze od klasycznych przykładów Darwin'a i Wallace'a, które powszechnie cytują się w literaturze. Niemniej ciekawe są uwagi o instynkcie pasorzytniczym ptaków oraz o doborze piciowym.

J. Domaniewski.

